

RUCHEM BROWNA... PO GWAŁCIE I WYCZEKIWANIU

s. 61–63

[...] Tytuł doktora nauk jest owym pierwszym progiem lub szczeblem w naszym życiu, bez którego nikt nie ma w nauce możliwości pokazania, ile jest wart. Takiemu, który tego stopnia nie osiągnął w porę, nikt nie da środków na badania, nie przyjmie na staż za granicą, nie powierzy też z poczuciem odpowiedzialności studentów. Wszelkie sposoby zastąpienia tej próby sił przez uznanie efektów działalności organizacyjnej, społecznej lub politycznej jako równoważnika osiągnięć naukowych kończyły się zawsze klęską. Zasada uzyskiwania stopni naukowych jest zgoła inna niż zasada rozdawania orderów.

Jeśli ten próg z własnym samozaparciem albo jeszcze lepiej, z pomocą rodziny, uda się pokonać dość wcześnie, nim młody człowiek zatraci wiarę w swe możliwości i zagubi swe zainteresowania, to powinien on dość szybko zmierzać do przekroczenia drugiego progu, habilitacji. Jeśli pierwszy był egzaminem czeladniczym lub egzaminem na amatorskie prawo jazdy, to drugi jest już egzaminem mistrzowskim lub prawem jazdy na autobus; może być też równoważny uprawnieniom pilota samolotu pasażerskiego. (Dla skrupulatnych uzupełniająca informacja: magisterium to tylko karta rowerowa.) W tym uproszczonym porównaniu kryje się główna myśl i sens tej sformalizowanej, w przekonaniu niektórych z nas, drogi naukowej.

Wszystko to – pomimo różnych zastrzeżeń – musi się stać w czasie, gdy nasze zdolności wydają się obiecujące, gdy żywe są jeszcze nasze zainteresowania. Nie ma bowiem autentycznej twórczości w żadnej dziedzinie nauki, sztuki, wynalazczości, jeśli zainteresowania i zdolności, nie rozwijane w porę, wygasną lub jeśli pracę trzeba będzie wykonywać w niezgodzie ze swymi upodobaniami.

Gdy pasja i zainteresowania znikną, nie pomogą nawet wielkie pieniądze i perspektywy awansów. Te czynniki pobudzania ludzkiej aktywności dostępne w niewłaściwej, spóźnionej porze mogą rodzić tylko karierowiczów, którzy pod pretekstem działalności naukowej zapragną zarządzać innymi, rychło każdemu ze swego otoczenia wyznaczą rolę wyrobnika lub dworaka. Ów, któremu kariera powiedzie się, sam chętnie będzie nazywał się koordy-

natorem, co najlepiej rozumieć dosłownie: jako zarządzający lub porządkowy (od słowa *ordo* – szereg lub *ordinatio* – ustawianie w szereg, w rząd). Nazwijmy go więc *koordynatorem* na każdą okoliczność.

Wiadomo z doświadczenia, że koordynator na każdą okoliczność nie będzie wszakże spolegliwym przełożonym lub zaufanym kolegą w zespole rówieśnym. Dobro pracy naukowej w zespole wymaga bowiem nie tylko współdziałania, ale przede wszystkim pełnej otwartości i gotowości dzielenia się z innymi każdą świeżo poczętą myślą. Mowa tu zwłaszcza o ideach, które rodzą się w wyniku obcowania z pomysłami innych, ale które to idee chciałoby się wykorzystać samemu.

3. Niepewny czas wyczekiwania

Ale powróćmy do tego, któremu nawet rola karierowicza nie przypadła i który ciągle zapytywany przez kolegów i przełożonego, ponaglany nakazami ustawy trwa na posterunku ze słowami: „Pracuję nad rozprawą doktorską (lub habilitacyjną) i niebawem ją zakończę”. Ale ta, niekiedy bardzo rozwinięta deklaracja, ma charakter wyrażenia okazjonalnego, czyli prawdziwa jest co najwyżej w chwili wypowiedzenia. Rozumieć ją więc należy mniej więcej w ten sposób: dawno już odszedłem od swoich zainteresowań, dziś bawi mnie co innego (lub: nic mnie nie bawi), tylko na pewien czas powracam do swojej rozprawy, np. pod wpływem zazdrości o powodzenie kolegi lub w chwili, gdy niespodziewanie wzrasta prestiż pracownika nauki. Częściej następuje to jednak pod naciskiem pracodawcy, np. groźby pominięcia w awansie lub zatrudnienia kogoś innego na moim miejscu. Jeśli przebudzeniu towarzyszą jakieś ruchy, to są to ruchy chaotyczne, wymuszone, między którymi wypada czas oczekiwań na zdarzenia losowe, które położą kres niezastudzonej męce pracy bez zainteresowań i satysfakcji.